

R. L. STINE

**DZIEWCZYNA  
ZNIKAŁA**

Tłumaczył  
MACIEJ POTULNY

**Media Rodzina**

Tytuł oryginału THE LOST GIRL

*The Lost Girl*

Text Copyright © 2015 by Parachute Publishing, LLC

Published by arrangement with St. Martin's Publishing Group.

All rights reserved.

Copyright © 2021 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki, skład i łamanie

Andrzej Komendziński

Zdjęcie na okładce

Kseniya Ivashkevich / Shutterstock

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-002-0

Książkę wydrukowano na papierze Lux cream 80g 1,6 dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk

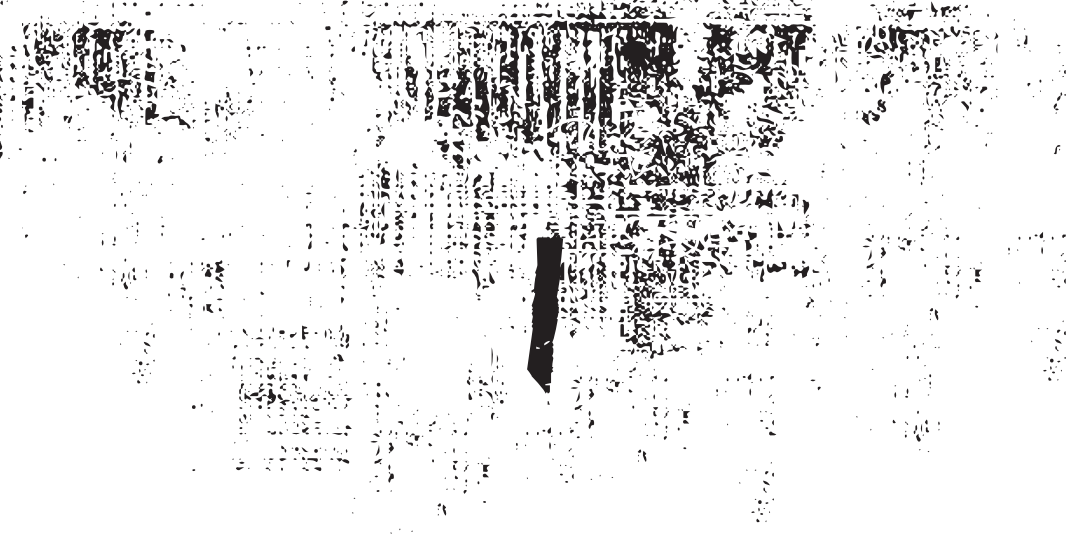
Abedik

*Dla Karen Feldgus.*

*Strzeż się głodnych koni.*

**PROLOG**

**SHADYSIDE  
1950**



Z tamtego popołudnia najlepiej zapamiętałam niebo jarzące się szkarłatem i żółcią, zupełnie jakby nieboskłon rozbłysnął specjalnie na nasze rodzinne święto. Refleksy słońca migotały na dwudniowym śniegu, który wyglądał jak usypany przy krawężniku stos diamentów.

Pamiętam chyba wszystko, co dotyczy tamtego dnia.

Wracałam do domu, biegnąc po topniejącym na chodnikach śniegu z mojej weekendowej pracy w pralni Clean Bee. Zapach krochmalu oraz środków chemicznych do prania na sucho nadal utrzymywał się na moim ubraniu i skórze. Pamiętam krew pulsującą mi w skroniach oraz uczucie, że wystarczy unieść wysoko ramiona, żeby oderwać się od zatłoczonych chodników Old Village i poszybować bez wysiłku ku mieniącym się na niebie barwom.

Jestem bardzo wrażliwa na kolory i światło. Srebrzysty blask księżycy ma nade mną szczególną władzę.

Jasność słońca tchnie we mnie życie. Czasami wręcz fizycznie czuję, że przepływają przeze mnie ładunki elektryczne.

To miał być niezwykle szczęśliwy dzień dla rodziny Palmierich.

W moich wspomnieniach dziadkowie, Mary i Mario, stanowili tak idealnie dobraną parę, że nawet ich imiona brzmiały niemal identycznie. Przybyli do Stanów Zjednoczonych z Włoch, kiedy mieli dwadzieścia kilka lat, i aż do późnego wieku ciężko pracowali, żeby zacząć tu nowe życie oraz zapewnić rozwój rodzinie.

Jaka szkoda, że nie dożyli dnia, w którym mój ojciec, Angelo Palmieri — ich najstarszy syn — osiągnął największy sukces. Zaczynał jako chłopiec stajenny, a teraz został właścicielem stadniny i szkoły jeździeckiej. Wszyscy byliśmy z niego niezmiernie dumni.

Moim rodzicom od kilku tygodni towarzyszył radosny nastrój. Często przyłapywałam ich, kiedy chichotali i porozumiewawczo kiwali do siebie głowami z szerokimi uśmiechami na zwykle poważnych twarzach.

— Z czego tak się śmiejecie? — zapytałam.

— Po prostu jesteśmy szczęśliwi, Beth — odparł tata.

— Termin otwarcia stajni jest coraz bliżej. Dlaczego mielibyśmy się nie cieszyć?

Trudno opisać, jak miło było widzieć ich takich radosnych i pełnych optymizmu. Nasze życie nie należało

do najłatwiejszych. Rodzina Dooleyów nigdy nie okazywała szczodrości mojemu ojcu. Byli właścicielami Rancza Braci Dooleyów, wielkiej stadniny w North Hills.

Mając kilkanaście lat, tata pracował tam jako chłopiec stajenny. Wrócił do pracy przy koniach po dwóch latach nauki w państwowym college'u. Wspiął się po szczeblach kariery aż do stanowiska zastępcy kierownika. Dooleyowie jednak rządzą tym miejscem, jakby byli królami, on zaś — ich sługą.

Nie pozwalali mu zapomnieć, że zaczynał od przetrzucania obornika łopatą. Martin Dooley, właściciel stadniny, na każdym kroku przypominał tacie, że powinien być mu wdzięczny, bo byłby nikim, gdyby nie hojność Dooleyów.

Z tej przyczyny dzisiejszy dzień — dzień otwarcia Stajni Palmierich — był tym bardziej ekscytujący. Symbolizował zwycięstwo, sukces, co więcej, triumf nad Dooleyami.

— Tato, czy to znaczy, że będziemy bogaci? — zapytałam przy kolacji w ubiegłym tygodniu.

Wyobrażałam sobie nowe swetry w szufladzie komody. Może nawet jeden z tych uroczych, przenośnych gramofonów. Możliwe, że nie musiałabym już pracować po szkole w pralni chemicznej.

Mama postawiła na stole salaterkę.

— Beth, masz szesnaście lat — powiedziała. — Powinnaś już wiedzieć, że nie zadaje się takich pytań.

Teatralnie przewróciłam oczami i wysunęłam szczękę.

— Czyżby?

Od tygodnia nie dogadywałyśmy się z mamą. Zabroniła mi pójść na szkolną potańcówkę oraz koncert Patti Page w Shadyside Pavilion tylko dlatego, że dostałam dwóję z testu z geometrii.

Przecież każdy wie, że dziewczyny nie są zbyt dobre z matmy. Dlaczego mama oczekuje, że będę wyjątkiem?

— Chcę wyjść za męża i zajmować się domem tak jak ty, mamó — powiedziałam. — Nie potrzebuję do tego geometrii.

Mama zmarszczyła brwi. Jej ciemne oczy znieruchomiały, jakby strzelały laserami niczym Flash Gordon prosto w mój mózg.

— Beth, nie potrzebujesz geometrii, żeby zajmować się domem — powiedziała cicho. — Ale musisz być mądra.

Auć.

Pod wpływem impulsu miałam ochotę sprawić, żeby talerz mamy uniósł się i roztrzaskał na suficie nad jej głową.

Ale rodzice nie wiedzą o moich mocach — nazywam je trikami. Są moim małym sekretem. Zamierzam je dalej ukrywać, bo mama i tata już i tak uważają, że sprawiam zbyt wiele kłopotów.



Tata poderwał się z krzesła i włączył radio.

Nie lubi, kiedy urządzamy z mamą sceny.

— Dzisiaj ma przemawiać prezydent Truman — powiedział. — Wiedziałyście, że zaczął jako farmer?

— Nie, tato — odparłam sarkastycznie. — Nigdy nam o tym nie mówiłeś. No, może jedynie jakieś tysiąc razy. O tym, jak to farmer został prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Mama wstała, złożyła serwetkę i zaczęła zbierać ze stołu naczynia.

— Angelo, czyżbyś zamierzał pierwszy pokonać drogę od chłopca stajennego do prezydenta?

Kiedy tata się śmieje, jego czarny wąs podryguje w górę i w dół.

— Tylko pod warunkiem, że pozwolą mi przyprowadzić moje konie — powiedział.

Jego uśmiech odbijał się w otoczonej żółtą łuną tarczy masywnego radia Philco — urzędnika, które było przedmiotem jego szczególnej dumy.

To się działo tydzień wcześniej. Obecnie znowu byliśmy z mamą na przyjacielskiej stopie.

Kiedy idziemy ramię w ramię ulicą, wiele osób twierdzi, że wyglądamy jak siostry. Obie jesteśmy szczupłe, mamy mniej więcej metr osiemdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, ciemne poważne oczy i czarne proste włosy. Uważam, że to komplement, kiedy ludzie mówią, że wyglądamy podobnie, bo moim

zdaniem ona jest ładniejsza ode mnie. Moje usta są niesymetryczne i zbyt pełne, a podbródek wydaje się za mały.

Tak czy siak, mama przestała zawracać mi głowę i znowu się kumplujemy.

Dla rodziny Palmierich zaś jest to wielki dzień. Dzień otwarcia.

Śnieg został zgarnięty ze ścieżek i przejść. Stajnie pokrywa świeża warstwa farby, boksy wyścielono słomą, a worki owsa piętrzą się, czekając na pierwszych czworonożnych przybyszy. Tata powiedział, że gazeta pewnie przyśle reportera, bo to pierwsze otwarcie stadniny w Shadyside, odkąd Dooleyowie założyli swoją przed niemal czterdziestu laty.

Szalik powiewał za mną, kiedy galopem niczym koń wyścigowy pędziłam ulicą między ludźmi. Pomimo zimowego chłodu miałam rozpięty płaszcz. Z moich ust buchały obłoczki pary, serce waliło mi mocno, wrywało się w kierunku domu.

Wiedziałam, że rodzice na mnie czekali. Tata pożyczł od pana Shawa, sąsiada z naszej ulicy, samochód kombi, żeby nas zawieźć do stajni.

Wysoki, chudy pies przywiązany do latarni obszczał mnie, kiedy go minęłam. Niemal potknęłam się o dwóch chłopców w kraciastych kombinezonach, którzy ciągnęli za sobą sanki Flexible Flyer.

Skręciłam na rogu w Village Road — z moich ust wyrwał się ostry krzyk, kiedy czyjeś dłonie chwyciły mnie w pasie. Podeszwy moich butów ślizgnęły się na rozdeptanym śniegu. Dłonie jednak trzymały mocno i powstrzymały mnie przed upadkiem.

— Hej...! — Obróciłam się w miejscu i nabrałam gwałtownie powietrza do płuc. — Aaron! Puszczaj!

Zaskoczone serce wciąż waliło mi jak młotem, kiedy zamrugałam oślepiona słońcem i popatrzyłam na drwiąco uśmiechniętą twarz Aarona Dooleya. Miał na głowie czerwono-niebieską wełnianą czapkę, która zasłaniała jego długie, zmierzwione, czarne włosy. Pomimo zimna jego twarz była biała jak pianki marshmallow — jakby był wampirem, który nigdy nie wychodził na słońce. Jego błękitne oczy lśniły niczym szklane kulki zatopione w lodzie.

Nie lubiłam Aarona Dooleya. Prawdę mówiąc, nie znosiłam go.

To jednak nie powstrzymywało go przed ugania-  
niem się za mną. Już kilkanaście razy powtarzałam mu, że nie jestem nim zainteresowana. On jednak w swojej próżności i zarozumiałstwie sądził, że po prostu zgrywam przed nim niedotykałką i nieprzystępną.

Chodziliśmy razem na wiele zajęć w Shadyside High. Aaron gapił się na mnie z drugiego końca klasy, cmokał głośno i rozciągał wąskie wargi w uśmiechu, który

chyba miał zmiękczyć moje serce. Jednak raczej przyprowadził mnie o mdłości.

Próbowałam mu się wyrwać, ale jego dłonie w rękawiczkach wdarły się pod mój rozpięty płaszcz i zacisnęły na talii.

— Aaron, puść mnie — warknęłam. — Zabieraj łapy! Śpieszę się.

W lodowato błękitnych oczach zapaliło się pożądanie. Aaron zacisnął mocniej palce i pociągnął mnie pod ścianę bloku mieszkalnego.

— Męczą mnie te twoje gierki — powiedział.

Zawsze mówił szorstkim, niskim głosem. Zdaje się, że starał się naśladować Johna Wayne'a w jego filmowych kreacjach.

— To nie są gierki, Aaron — odparłam. — Powiedziałam ci już wiele razy, żebyś zostawił mnie w spokoju. — Znowu próbowałam się wyrwać, ale nie mogłam się od niego uwolnić. — Więc odpuść. Na prawdę się śpieszę.

Przyciągnął mnie do siebie i przywarł zimnym policzkiem do mojego policzka.

— Musisz dać mi szansę, Beth.

— Nie — powiedziałam. Dotyk jego skóry sprawił, że żołądek podszedł mi do gardła. — Puść mnie. Odejdź. Mówię serio. Nie jestem zainteresowana...

Przerażający ryk wydarł mu się z gardła. Jego blada twarz pociemniała, stała się czerwona, a wargi na-

pięły się, odsłaniając zęby niczym u wściekłego zwierzęcia.

— Nie odejdę! — krzyknął przez zaciśnięte zęby.

Pchnął mnie, aż straciłam równowagę. Zachwiałam się. Bezceremonialnie chwycił mnie znowu za ramiona i pociągnął do siebie.

— Aaron... — Zabrakło mi tchu. — Nie...!

Powlókł mnie w głęboki cień małego skweru między dwoma budynkami. Był to raczej zasypany śniegiem pusty plac z dwoma wysokimi drzewami przy ulicy.

Śnieg w tym miejscu utworzył zlodowaciałą skorupę, a moje buty ślizgały się po niej, kiedy Aaron ciągnął mnie za szeroki pień drzewa. Ciężko oddychał, świszczwał, a wydmuchiwane powietrze układało się w obłoki pary przed jego błyszczącymi, błękitnymi oczami. Miał minę szaleńca — kompletnie stracił nad sobą kontrolę.

— Musisz dać mi szansę. Musisz — mamrotał, dysząc gorącym oddechem prosto w moje ucho.

A potem przycisnął swoją twarz do mojej. Jego wargi poruszały się niecierpliwie, dopóki nie znalazły moich ust. Przycisnął je mocniej i poczułam jego zęby.

Odchyliłam głowę, ale przytrzymał ją i przywarł z całej siły ustami, zmuszając mnie, żebym go pocałowała. Po chwili odepchnął mnie brutalnie. Straciłam równowagę, poślizgnęłam się i upadłam na wznak na zlodowaciałą, twardą ziemię.

Nie zdążyłam się ruszyć, a Aaron już znalazł się na mnie. Przytrzymał mi ręce i usiadł na mnie okrakiem. Pochylił się i zaczął gwałtownie całować mnie po policzkach.

— Nie! Proszę! — krzyknęłam. — Aaron... zejdź ze mnie! Złaź!